ROK VII.

PRZEBOJEM

MIESIĘCZNIK UCZNIOWSKI

№ 4.



DRUK J. CELKOWSKIEGO.
ROK 1929

Konto P. K. O. № 63178.

PRZEBOJEM

MIESIĘCZNIK UZNIOWSKI POŚW. NAUCE i ROZRYWCE.

KUTNO NAD OCHNIĄ, Dnia 15 Lutego 1929 r.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1.50 zł. Półrocznie 3.00 zł. Rocznie 5.50 zł.

ROK VII. | Cena 75 groszy z przesyłką 85 groszy | ZESZYT 4 (45).

Próby zmartwychwstania.

(1795 r. — 1864 r.)

Potężnem echem w dziejach historji narodu polskiego odbiły się trzy powstania, trzy próby stworzenia bytu niepodległego i wyznaczenia krwią walczących granic niepodległej Polski. Polacy, w których krwi płynie umiłowanie wolności i którzy nieraz już dawali dowody, że bohaterstwo cechuje ich ducha rycerskiego, pragnęli i teraz stwierdzić to czynem, gdy Polska jako państwo istnieć przestała. Początkowo mniemali, że zaciągając się pod sztandary Francji i walcząc pod okiem genjalnego wodza, swemi czynami bohaterskiemi zwrócą na siebie uwagę Napoleona. Wzamian za wierność i poświęcenie spodziewali się, że on, przed którym drżała cała Europa, wskrzesi, skutą w kajdany i przytłoczoną w grobie potęgą zaborców, Polskę. Niestety, nadzieje zawiodły. Trzeba było liczyć na własne siły i ufać tylko samym sobie. Aż nagle, — w szesnaście lat po czwartym rozbiorze, zerwał się naród do broni i z szaleństwem prawie, powodowanem rozpaczą, rzucił się przeciwko tyranom — poto, by zginąć, lub wrócić Polsce cudem byt niepodległy...

I wśród nadludzkich wysiłków, obficie zraszając krwią pola Olszynki—Grochowskiej, Wawra, Dębów—Wielkich,

Ostrołęki oraz Woli musieli upaść zdruzgotani przemocą, dzielni, nigdy niezapomniani, prawi synowie Ojczyzny...

— — — — — — — — — — — — — — —

I minęło od chwili upadku powstania listopadowego kilkanaście lat ustawicznego i bezwzględnego tępienia tego, co polskie. Aż rozdrażnione boleśnie niedawne blizny pchnęły naród do nowych zapasów. Lecz i ten pamiętny rok 1848 nie wiele dobrego przyniósł Polakom. Zaborcy nie zboczyli z drogi gnębienia kultury narodowej, sądząc, że tym sposobem zatraci naród poczucie polskości.

Tymczasem rok 1848 rozniecił w Europie poczucia narodowościowe, poczucie samoistności i silnego zespolenia państwowego. Polacy i teraz czekali na to, że obietnice czynione przez Rosję może wreszcie dadzą jakieś konkretne wyniki. Carat dążył konsekwentnie do zamierzonego celu — a na nadzieje Polaków znalazł Aleksander II krótką lecz jasną odpowiedź — „point de rèveries" („precz z marzeniami"). Gorętsze umysły, żądne ostatecznej rozprawy jak najszybciej pragnęły rozpocząć kroki zaczepne, widząc, że polityka ugodowa wiedzie na bezdroża. Nie chciano czekać na powolne, lata całe trwające wyłamywanie się z pod ciężkiej łapy zaborców. Krew wrzała... Szukano jak najszybszych bezpośrednich przyczyn do walki. Na ziemiach zabranych tworzyły się tajne komitety, kierujące siecią powstańczą „czerwonych". „Biali" stali narazie na uboczu zdala od tego ula, z którego brzęk już wyraźnie dobiegał do uszu carskich... Nagle też po kilku krwawych zajściach z wojskami rosyjskiemi oraz po zarządzonej Wielopolskiego brance, buchnęło i płomienie powstania poczęły obejmować coraz to dalsze ziemie...

Taktyka walki ze strony powstańców inna była teraz niż w roku 1831-ym. Walczono na sposób partyzancki, bo o walnem starciu nie można było marzyć, rozporządzając 10-cio tysięczną gromadą niewyćwiczonych oraz nieuzbrojonych należycie, choć z zapałem do walki stających, młodzieńców. Walczono jednak z nadzieją, że może jednak szczytne hasła, brzmiące jeszcze donośnie po roku 1847-ym, skłonią państwa, przyjmujące je do zbrojnej w sprawie Polski interwencji.

Niestety czczy manifest angielsko-francusko-austrjacki przebrzmiał bez echa. Rosja, zaskoczona początkowo nową taktyką, wycofała ze wsi słabsze załogi, organizując w miastach większe siły. Udało się powstańcom odnieść kilka większych zwycięstw i zagarnąć w swe ręce tereny, z których ustępowały słabe załogi rosyjskie, i na których mogli dopiero powstańcy należycie organizować się. Mimo wszystko jednak krótko cieszyli się Polacy swem powodzeniem.

Ciągłe zmiany naczelnego dowództwa, po każdej większej prawie klęsce, dezorjentowały często walczących w ogólnej sytuacji. Ustąpił Mierosławski a po nim Langiewicz. Ostatnia dyktatura Romualda Trauguta który, ze znakomitszych postaci roku 63-ego, odznaczał się największym talentem wojskowym i organizatorskim, polepszyła znacznie sytuację upadających już prawie ze zmęczenia powstańcńców — niestety za późno.

Głód, utarczki i mrozy dziesiątkowały szeregi polskie, a wreszcie, gdy stłumiono powstanie na Litwie i Żmudzi, wszelkie nadzieje zwycięstwa upadły. Traugut, człowiek wielkiego serca i rozumu, zginął na stokach cytadeli warszawskiej, bo serce jego ukochało Ojczyznę i pragnęło Jej wyzwolenia. Ginęło tysiące prawdziwych Polaków, bądź to w tajgach Sybiru, bądź to na szubienicach, lub na placu boju — a wszyscy za wolność Polski. Zginęli już stuleciem prawie od nas oddzieleni — lecz pamięć o nich istnieć nie przestała. Cześć ich wielkiej pamięci! Cześć bohaterom poległym w bojach o zmartwychwstanie Ojczyzny!..

Krocząc śladami tych, niezapomnianych nigdy, pierwszych bohaterów w walkach o wolność Polski, z równą siłą ducha działajmy, budując na gruntach, krwią męczeńską zlanych — potężny gmach państwowy, który nie runie w żadnym huraganie dziejowym.

CZEJOT kl. VIII.

Społeczeństwo szkolne a pozaszkolne.

Szkoła grupuje wewnątrz swych murów większą ilość uczniów, którzy wraz z władzami zwierzniczemi tworzą odrębne, małe społeczeństwo. Przyglądając się życiu wewnętrznemu, jakie toczy się w obrębie murów szkolnych, przychodzi nam mimo woli na myśl pewna analogja z życiem społeczeństwa pozaszkolnego. Społeczeństwo szkolne posiada władzę zwierzchnią w osobie dyrektora i profesorów, którzy są jakby jego ministrami. Wszystkie szkolne rozporządzenia wychodzą od dyrektora, a za pośrednictwem profesorów dostają się do ogółu uczniów, którzy są zobowiązani je ściśle przestrzegać i wypełniać. Konieczna jest tu karność i posłuszenstwo, gdyż w przeciwnym razie nie dałoby się władzy zwierzchniej utrzymać w karbach młodych, a nieraz swawolnych jednostek społeczeńtwa szkolnego. Uczniowie między sobą tworzą różne stowarzyszenia, które mają na celu samokształcenie się, lub też wzajemną pomoc w nauce. Stowarzyszenia te posiadają swój odrębny zarząd, któremu podlegają we wszystkich sprawach, dotyczących danego związku. Kółka, które ucz-

niowie tworzą między sobą, podlegają zwierzchniej władzy szkolnej, która się niemi opiekuje i pomaga w miarę możności swemi zasobami do ich intensywnego rozwoju i życia. Należy nadmienić, że społeczeństwo szkolne rządzi się pewnemi, zgóry ułożonemi prawami i przepisami. Nad wykonaniem praw i przepisów szkolnych przez uczniów czuwa cały zespół pedagogiczny, a przekroczeuie ich bywa karane. Wszelkie zatargi i sprawy bywają rozpatrywane przez samych członków społeczeństwa, lub też władzę zwierzchnią. Społeczeństwo szkolne ma ograniczoną wolność słowa i czynu.

Uczniowie wraz ze swojemi rodzinami tworzą liczebnie większe od poprzedniego społeczeństwo pozaszkolne. Rozpatrując życie społeczeństwa pozaszkolnego widzimy, że pomiędzy jednem społeczeństwem a drugiem zachodzi pewna analogja, lecz są i różnice. Społeczeństwo pozaszkolne posiada również władzę zwierzchnią w osobie prezydentów i jego ministrów. Wszystkie prawa, które obowiązują każdego obywatela państwa, zawarte są w konstytucji. Taką konstytucją dla społeczeństwa szkolnego jest „regulamin szkolny". O wszelkich rozporządzeniach i zmianach praw społeczeństwo dowiaduje się przez ogłoszenia za pośrednictwem odpowiednich ministrów. Społeczeństwo między sobą tworzy różne stowarzyszenia, którem przyświecają najrozmaitsze cele. Podobne związki tworzył i społeczeństwo szkolne. Rząd popiera takie stowawerzyszenia, nawet zasila je swemi środkami i opiekuje się niemi. Widzieliśmy to również w życiu społeczeństwa szkolnego. Każdy z członków społeczeństwa pozaszkolnego posiada wolność słowa i czynu, czego nie można powiedzieć o społeczeńtwie szkolnem, które te dwa przywileje ma ograniczone, co zresztą jest zupełnie słuszne. Przeglądając życie społeczeństwa szkolnego i pozaszkolnego widzimy, że jak jedno tak i drugie posiada prawa i przywileje, tylko że społeczeństwo szkolne posiada je bardziej ograniczone.

L. K. kl. VII.

Co mi daje szkoła a czego wymaga odemnie życie?

„Nauka jest jak niezmierne morze-im więcej jej pijesz, tem bardziej jesteś spragniony. Życie, bez wielkiego czynu jest nędzą i głupstwem".

Żeromski.

Ludzkość, dążąc ciągle do rozwoju, dążąc ciągle naprzód, musi pokonywać wiele przeszkód, na jakie napotyka

na ciernistej drodze życia, musi walczyć z wieloma przeciwnościami losu, zanim zdoła wytworzyć sobie korzystne warunki bytowania. Ta walka o byt, o szczęście w życiu — to najcięższa praca, jaką podejmuje każdy człowiek, która jednak nie zawsze kończy się zwycięstwem. Istoty słabsze, złamane bolesnemi razami losu, giną a ich miejsce zajmują istoty silniejsze, które przeszły zwycięsko drogę życia.

Do walki z nieubłaganym i niewruszonym losem o uzyskanie minimum egzystencji musi stanąć każdy człowiek, który przez całe życie swe musi borykać się z przeciwnościami, musi z wielkim wysiłkiem usuwać napotkane przeszkody. Jak ciężka jest ta walka, przekona się każdy z nas w przyszłości, gdyż obecnie, mało znając zagadki bytu, nie znając życia ze wszystkich złych i dobrych stron, nie możemy wydawać opinji o sprawach, związanych z układem stosunków w następnych latach. Ażebyśmy byli przygotowani do podjęcia rękawicy, rzuconej przez los, musimy przygotować się do wytrwania w czekającej nas walce o byt, musimy zahartować naszą wolę, musimy przez naukę posiąść pewne podstawy, na których będzie oparte nasze przyszłe życie.

Zadanie to wypełnia przedewszystkiem szkoła. Pierwszym jej obowiązkiem jest ćwiczenie umysłu młodzieży, materjału jeszcze surowego, który dopiero w rękach mistrzów—wychowawców zostaje przerobiony na materjał szlachetny, mogący przynieść społeczeństwu korzyść. Szkoła kształtuje umysł ucznia, obdarza go wiadomościami niezbędnemi w życiu, wpaja w niego najpiękniejsze idee miłości Boga, Ojczyzny, nauki. Szkoła daje nam podstawowe wiadomości z zakresu najważniejszych nauk, które stanowią fundament dla przyszłej samodzielnej pracy umysłowej.

Dusza każdego dziecka i młodzieńca jest bardzo podatnym terenem do zaszczepiania wszelkich roślin wiedzy, na niej wschodzą i kiełkują ziarna nauki, szlachetności, rzucane przez kierowników duchowych. Misja każdego profesora jest bardzo zaszczytna, gdyż on kształci umysł ucznia, gdyż on uprawia ten ugór duszy uczniowskiej, on przygotowuje dobrych obywateli, dobrych synów Ojczyzny.

Szkoła, oprócz tego, że wykształca umysł nasz, że urabia dusze nasze, przygotowuje nas także do przyszłej pracy dla dobra ogółu, dla dobra kraju. Na terenie szkoły istnieją stowarzyszenia—kółka, w których, pracując pod okiem profesorów, przygotowujemy się do przyszłej pracy społecznej. Przecież jak całe gimnazjum, tak i pojedyncze stowarzyszenia uczniowskie są małemi rodzinami społecznemi, które także mają pewne cele, pewne specjalne zadania. Pracując w tych małych komórkach społeczeństwa

uczniowskiego, zaprawiamy się do ofiarnej pracy dla dobra bliźnich. Tutaj trzeba podkreślić, że szkoła, popierając owe małe lecz ruchliwe stowarzyszenia uczniowskie, zaprawia nas do pracy społecznej, tępiąc w ten sposób obojętność do pracy dla bliźnich, do pracy bezinteresownej.

Jeżeli wziąć pod uwagę wszystko, co każdy z nas otrzymuje w szkole dojdziemy do wniosku, że jednak szkoła bardzo wiele nam daje i za to powinniśmy w sercach nosić dla niej szacunek i poważanie. Przecież tylko dzięki szkole, możemy później objąć pewne stanowiska w społeczeństwie. Czyż gdybyśmy wszelkie nauki pobierali poza szkołą prywatnie, odnieślibyśmy takie korzyści? Napewno nie! Przedewszystkiem dlatego, że szkołą kierują ludzie, którzy całą duszą oddani są pracy nad wychowaniem pokoleń, którzy z zamiłowaniem oddają się kształtowaniu dusz naszych i umysłów. Następnie szkoła, kształcąc nasze umysły, wdraża nas do pewnej systematyczności, do punktualności, do sumiennego wypełniania naszych obowiązków, co w życiu przyniesie każdemu z nas wielką korzyść. Pomiędzy nauką pozaszkolną a nauką pobieraną w szkole istnieje wielka różnica. Jak, ucząc się poza szkołą, zwracają uwagę niektórzy jedynie na wykształcenie umysłowe, tak, ucząc się w szkole, otrzymujemy oprócz starannego wykształcenia umysłowego i wykształcenie duchowe.

Szkoła tworzy materjał na dzielnych pracowników społecznych, szkoła wychowuje dobrych obywateli państwa i synów Ojczyzny, szkoła daje nam najważniejsze wskazówki, według których mamy postępować w życiu, aby nie zejść z drogi prawdy, szlachetności i pracy.

Po opuszczeniu szkoły dopiero zaczyna się życie samodzielne lecz trudne, pełne niespodzianek i zawodów. Życie to pochłania każdego człowieka i zgniata tego, który puścił się na niebezpieczną drogę życia bez należytego przygotowania. Życie bowiem żąda ludzi pożytecznych, którzy silni fizycznie a przedewszystkiem duchowo przynosić będą społeczeństwu i krajowi pożytek. Życie wymaga od nas poświęcenia dla dobra ogółu, pracy nad polepszeniem bytu, do czego obecnie możemy przyczynić się tylko pilną, nieustanną pracą nad samymi sobą.

W życiu nie powinniśmy zwracać uwagi na siebie, owinniśmy pracować dla naszych rodaków, przedewszystiem dla tych, którzy są mniej szczęśliwi od nas. Powiniśmy pracować dla dobra Ojczyzny a nawet, gdybyśmy ieli oddać czyto Ojczyźnie czyto ogółowi duszę własną, ic nie powinno nas przed tem zatrzymywać. Bowiem to, o zdziałamy dla życia, nie przepadnie, gdyż z naszej pracy z naszej zasługi będą korzystać nasi następcy.

Życiu powinniśmy oddać to, co od niego otrzymaliśmy: zdolności, siły, zdobycze nauki, a przedewszystkiem uczucie, wiarę i męstwo, wyrażone w czynach i w pracy twórczej.

WŁODZIMIERZ MINICH kl. VIII.

Jak powinien żyć i pracować uczeń, by stać się wzorem?

Szkoła nasza stanowi małą cząstkę tego wielkiego społeczeństwa, jakiem jest cały nasz naród. Ona stara się w miarę rozwoju umysłowego i fizycznego ucznia, wpajać weń zasady moralności i pracy. Lecz wynik tych zabiegów szkoły zależy od samych uczniów i od ich sposobu przystosowywania się do wymagań szkoły. Świat ucznia składa się z życia szkolnego i pozaszkolnego. To też postępowanie ucznia wzorowego nie powinno odnosić się tylko do życia szkolnego, ale także do życia pozaszkolnego, gdyż większą część dnia spędza poza szkołą. Pierwszym warunkiem dobrego spełniania obowiązków jest punktualność. Uczeń ma punktualnie uczęszczać do szkoły, gdyż spóźnienie się jest już do pewnego stopnia niedbalstwem i złem obliczeniem czasu, a to u ucznia wzorowego nie powinno mieć miejsca. Drugim warunkiem, jest dobre zachowanie się ucznia podczas lekcji i podczas pauz. Poważne i spokojne zachowanie się ucznia podczas lekcji, ułatwia mu uważanie i zrozumienie wykładanego przedmiotu. Uczeń, który znajduje się na lekcji, ma brać w niej czynny udział i starać się wnikać w słowa p. profesora, gdyż tylko wtedy może mieć jakąś korzyść z danej lekcji. Zaś bierne, choćby nawet spokojne siedzenie na lekcji, nic dobrego nie przyniesie, chyba to, że nie przeszkadza innym. Wzorowy uczeń nie powinien podpowiadać kolegom, ani też sam korzystać z takiej pomocy, gdyż to prowadzi do oszukaństwa i lenistwa. Uczeń ma odznaczać się czystością umysłu i czynów. W umysł ucznia wpajane są wzniosłe utwory naszych przywódców duchowych, którzy wniknęli w piękno tego świata i chcieliby niem z nami się podzielić. Lecz czyż jest rzeczą możliwą, aby umysł zaprzątnięty brudami i przyziemnemi uczuciami mógł odczuć piękno. Trzeba oczyścić duszę z brudu i czuwać nad myślami, aby nie prowadziły do czynów niegodnych. Wtedy tylko przeszczepi się w umysły nasze prawdziwa wiedza. Uczeń powinien starać się o swój wygląd zewnętrzny. Ubranie ucznia, choćby nawet skromne, powinno być czyste i oszczędzane przez niego. Uczeń ma kochać swych przełożonych i być im wdzięcznym, gdyż

oni swą pracą starają się oświecić nasze umysły i przysposabiają nas, niedołężnych jeszcze, do życia pożytecznego. Uczeń powinien bronić czci swych przełożonych poza gmachem szkolnym, gdyż przeważnie winy, jakie im przypisują jednostki niewdzięczne, są nieprawdziwe. Uczeń ma też być szczerym, uczynnym i sprawiedliwym względem swych kolegów. Powinien z nimi zgodnie współpracować i dążyć do wspólnego celu, to jest do doskonałości. Uczeń powinien też spełniać gorliwie obowiązki, jakie nakłada nam kościół. Powinien czcić Boga i odwdzięczać się za Jego dary i łaski, jakie zsyła codzień na ziemię.

Odmienne są, lecz równie ważne obowiązki ucznia poza szkołą.

Tu musi on wykazać większą samodzielność, gdyż wychodzi z pod opieki pp. profesorów i wraca pod opiekę rodziców. Lecz ci niezawsze mają czas lub możność śledzenia postępków swego syna. Po postępkach ucznia bez nadzoru, możemy sądzić o jego wartości i charakterze, gdyż nie ci są szlachetni, którzy pod groźbą kary dobrze się zachowują i spełniają swe obowiązki, lecz ci, dla których inne postępowanie jest niemożlwe. W domu uczeń powinien szacunkiem i miłością otaczać rodziców i przynosić im ulgę w ich codziennych troskach. Wzorowy uczeń ma umieć dobrze rozłożyć sobie czas, aby móc odrobić zawsze dokładnie lekcje zadane i użyć potrzebnego dla zdrowia świeżego powietrza. Nie powinna cechować ucznia rozrzutność i lekkomyślność. Uczeń ma pilną pracą pokonywać trudności w naukach. Ale na tem jeszcze nie koniec. Na ucznia nakłada także obowiązki ojczyzna, trzeba więc je gorliwie spełniać. Uczeń powinien zapoznać się z powinnościami obywatela, przygotowywać się do sumiennego ich spełnienia. Ma on ćwiczyć się w karności i cnotach obywatelskich i w poczuciu odpowiedzialności, a pracą swą zdobywać naukę, wytrwałość i energję, aby potem mógł pomyślnie pracować nad rozwojem państwa i narodu. Uczeń powinien zawsze stawać w obronie bezpieczeństwa, całości i honoru ojczyzny i swego narodu. Gdy spełni te warunki będzie go można nazwać wzorowym uczniem, a w przyszłości wzorowym obywatelem kraju.

L. KUNCEWICZ kl. VI.

Gdy się morze wzburzyło...

Trój-masztowiec, niby lekka łupina wykonywał niezwykłe zwroty, gdyż „storm“ wiał z całą siłą. Żagle, poszarpane i pogmatwane, opryskiwane pianą, spłukiwane potokami dżdżu wisiały na rejach i trzepotały, niby ranny

ptak. Czasami cały kadłub drżał, dawał się słyszeć zgrzyt wiązań belkowych i skrzyp naciągniętych lin. Dziób statku, jak rozhukany rumak, wznosił się i opadał na fale, parł i wdzierał się w rozszalały żywioł.

Stałem przy sterze. Burza, tak jak wczoraj rano zerwała się, trwała do dzisiaj. Całą dobę przyczepiony do koła, wypatrywałem zbawczego światła latarń portowych, któreby wskazały mi kierunek do jakiejś przystani. Ale mogłem błąkać się tak całe lata, całe życie, wreszcie umarłbym i portu nie znalazłbym. Gdybym miał przynajmniej kompas, ale tak? Żadnej nadziei ratunku.

Z ust niejednego starego „wilka morskiego" słyszałem, że okręty takie jak mój zwiastują nieszczęście, za wszelką więc cenę należy taki statek wyminąć. Nieraz majtek na „Gnieździe" błądząc oczyma po morzu natrafia na statek opuszczony, „widmo", więc odwraca wzrok ze zgrozą i jak wiatrem zdmuchnięty ześlizguje się na pokład. Nie słucha gróźb i próśb bosmana, by wrócił na stanowisko. Miejsce odwagi zajęła trwoga i przestrach, jaki można z oczu jego wyczytać. Takim to „widmem" sterowałem, gdyż zaledwie przed 25 godzinami cała załoga wraz z garstką pasażerów umknęła na morze, nie bacząc na storm, który wiał jak wściekły, i na wielkie wzburzenie morza. Mój twardy sen nie pozwolił mi wraz z nimi odbić od statku.

Gdy się obudziłem, okręt chybotał się i przewracał na wszystkie strony, więc nie dziw, że nie zorjentowałem się w sytuacji. Dopiero po jakiejś chwili zacząłem odczuwać brak czegoś, z czego nie zdawałem sobie jasno sprawy. Gdy tak rozmyślałem, zaniepokoiła mnie cisza w kajutach. Ubrałem się więc i wyszedłem, a gdy kładłem rękę na klamce kajut—kompanji, serce biło mi jak młotem. Przetarłem oczy, myśląc, że śnię i spojrzałem znowu. Przedemną poprzewracane i połamane leżały stoły, fotele; potłuczone lustra i pootwierane kredensy ziały pustką.

Przeraziłem się.

Wtem usłyszałem jakiś głosik dziecka „mamo", „mamo". Podbiegłem do sofy i zauważyłem małą dziewczynkę, córeczkę znanej mi dobrze pani S., która wraz z innymi, jak się domyślałem, opuściła statek. Wziąłem więc dziecko na ręce i wraz z niem udałem się do kasztelu, gdzie na wyziębłych blachach stały przeróżne potrawy. Nakarmiłem dziecko, a potem ułożyłem do snu. Zadowolony, że umiałem spełnić czynności, które wykonują zwykle matki, wyszedłem na pokład, gdzie walka żywiołów ani na chwilę nie ustała. Od burty do burty przelewały się zwały wód, a wśród lin, przybudówek i masztów wył przeraźliwie wicher. Czepiając się omasztowania, doszedłem do steru, a gdy ująłem za szprychy, statek powstał z pijanej pozycji,

wyprostował się i czołem zaczął odpierać ataki morza. Chociaż wstrząsały mną dreszcze i ręce sztywniały, i noc zbliżała się szybkiemi krokami, czuwałem z ręką u koła. Odemnie zależało życie Jadwiśki (tak jej było na imię), więc musiałem troszczyć się o nią.

Wtem mimowoli obejrzałem się i ujrzałem coś, co zmroziło mi krew w żyłach i wycisnęło pot na skroniach. Poprzez stosy lin i drągów, z Jadwiśką w ramionach, biegł jakiś człowiek. Z ruchów gorączkowych, a zarazem trwożliwych odgadłem, że jeżeli nie pośpieszę małej na ratunek, zginie. Zrozumiałem grozę położenia. Jadwiśka zaś, jak mogłem zauważyć przy dogasającym dniu, wyrywała się biegnącemu i biła go piąstkami po twarzy.

Już tylko kilkanaście stóp dzieliło nieznajomego od burty. Widziałem, jak wznosi dziecko w ramionach. Trzeba było coś przedsięwiąć. W chwili szybkiej, jak błyskawica, przebyłem dzielącą go odemnie przestrzeń, i wstrzymałem ręce wzniesione w okrutnym zamiarze, chcące wyrządzić straszną krzywdę dziecku. W mroku dojrzałem bladą twarz nieznajomego i oczy, rzucające złowrogie błyski. Jego straszne oczy napawały mię przerażeniem.

Stanąłem z wiosłem gotów do obrony.

Przeciwnik mój zaatakował mię.

Podczas walki dostrzegałem błędne błyski jego oczu, które wrzynały się w głąb duszy i trwożyły mię coraz bardziej. Uchylałem się przed jego silnemi razami, jak mogłem, ale władał bronią z większą sprawnością. Już dwa razy uczułem ostry ból w ramieniu, uświadomiłem sobie, że słabnę.

Ale niechaj to będzie ostatni mój wysiłek. Zamierzyłem się jeszcze raz i zobaczyłem go leżącego.

Podnosił się z upadku na rękach, krwawiący, straszny. Wstał na kolana, ale gdy fala rzuciła okrętem, runął na deski. Po chwili podnosił się znowu, podpierając się jużto prawą, jużto lewą ręką, a gdy unosił głowę, widziałem twarz pełną nienawiści.

A mimo to uczułem litość dla tego nieszczęśliwego. Nie mogłem patrzeć na jego mękę, chciałem więc uciec od tego widoku.

Gdy jednak krok postawiłem, uczułem, jak rączki Jadwiśki obejmują mi silnie nogę. Podniosłem ją i spojrzałem w jej twarz. Była pełna trwogi przed tym, który tam na deskach leżał, nie mogąc wstać o własnej sile. Zdawało mi się, że zemdlał.

Zaniosłem więc Jadwiśkę do swej kajuty, i tam złożyłem ją na posłaniu, a wychodząc zamknąłem drzwi na klucz.

Niedługo czekałem na nowe natarcie szaleńca. Udał

się on do kasztelu i po chwili wrócił, trzymając duży, zakrzywiony tasak, jakiego używają kucharze przy rozcinaniu połaci mięsa. W przeczulonej może wyobraźni słyszałem trzask gruchotanych kości i dzikie okrzyki szaleńca. Dalej widziałem się na dnie morskiem, wśród zaczarowanych krain świata podwodnego.

Burza ustała, więc ponad masztami, na odsłoniętem z chmur niebie, migotały gwiazdy, a w koło rzucała swój czar jasna, podwzrotnikowa noc. Oczy moje, błądzące po niebie, morzu przeniosły się na pokład i zatrzymały się na zwoju lin.

W głowie zaświtała mi myśl, więc w ostatniej chwili chwyciłem się jej, jak deski ratunku. Podbiegłem do zwoju i wnet zawinąłem ciężką liną.

Teraz nie mógł zbliżyć się do mnie. Uważałem na jego ruchy, by wczas się usunąć, gdy rzuci tasakiem. Szaleniec podniósł dłoń, w powietrzu zawarczało żelazo i lecąc łukiem spadło za mną opodal. On zaś nie zdążył się uchylić, i rzucona lina, omotawszy się jak wąż wkoło jego postaci, zwaliła go na pokład. Bezsilny w swej wściekłości rzucał się po pokładzie, lecz słabego i bezbronnego w tej chwili, jak dziecko, wziąłem na ręce i zniosłem do jednej z kajut. Tam wysunąłem szufladę, która służyła do składania ubrań i bielizny, i w nią wrzuciłem obezwładnionego szaleńca. Spokojny o swoje i jego życie (w szufladzie były szpary, którędy dostawało się powietrze) wyszedłem na pokład.

Stanąłem na rufie i patrzyłem na stalową ostrogę statku, jak rozpierała sobą ciemną toń oceanu.

Wiatr przestał grać na toplinach i tabapach, lecz targał lekko strzępami żagli. Cicho i spokojnie było wkoło, a zdałeka. z tej ogromnej pustki oceanu ciągnął Smętek, król duszy ludzkiej.

F. G. kl. VI.

Syrokomla.

(Życie i działalność).

W niskiej chacie zaściankowej, we wsi Smolkowie, gubernji mińskiej przyszedł na świat Ludwik Władysław Franciszek Kondratowicz, herbu Syrokomla. Ojciec Ludwika, Aleksander był człowiekiem cichym, łagodnym, zbiedzonym ciężkiemi borykaniami się z losem, które w spuściźnie pozostawił synowi. Po ożenieniu się rzucił posadę komornika prywatnego i zajął się pracą na roli. Początkowo osiadł w Smolkowie. Tam też urodził się Ludwik. Wykształcenie przyszłego poety było takie, na jakie stać było

p. Aleksandra. Pierwszą szkołą chłopca było obcowanie z przyrodą poleską. Pokochał też serdecznie tę naturę, karmicielkę jego dziecinnej wyobraźni; pokochał szczerze i lud, z którym od pierwszych lat życia obcował. To też uczucia te brzmią donośną nutą w jego poezji.

Po elementarnych naukach w domu został przyjęty do szkoły ks. ks. Dominikanów w Nieświeżu. Na czterech klasach nieświeskiej szkoły skończyła się edukacja przyszłego twórcy, ponieważ podanie do piątej klasy szkoły świeckiej w Nowogródku zostało odrzucone. Ten więc szczupły i częściowo jednostronny zasób wiedzy miał mu starczyć na całe życie: reszty dopełniło samouctwo i życie. Nie dziw więc, że poezje jego nie posiadają rozległych horyzontów myśli.

Po opuszczeniu szkoły ks. ks. Dominikanów przyjechał Ludwik do domu, by pomagać ojcu w gospodarstwie na folwarku Marchaczewszczyźnie. Ponieważ jednak nie czuł szczególnego zamiłowania do rolnictwa, wyrobił mu ojciec posadę w administracji dóbr Radziwiłowskich w Nieświeżu. Tam znalazł się w gronie osób światłych i inteligentnych, których towarzystwo dodatnio wpłynęło na jego poziom umysłowy. Z Nieświeża też pochodzą pierwsze próbki poetyckie Kondratowicza o charakterze satyryczno-okolicznościowym. Poszukiwania w archiwach: miejskim i Radziwiłowskim wznieciły w nim zamiłowanie do przeszłości i dały przedmiot do niejednego utworu poetyckiego.

W roku 1844-ym — 16 kwietnia 21-letni Ludwik zawarł związek małżeński z p. Pauliną Mitraszewską, liczącą w tym czasie 16 lat. Za cały posag opiekun p. młodej p. Adolf Dobrowolski ofiarował mu „Historję Literatury Polskiej“ Wiszniewskiego, która ucieszyła go niewymownie.

Ludwik nie posiadał nadzwyczajnych darów umysłowych, ze szczupłą nauką, z sercem złotem wszedł w życie. Nieopatrzny i lekkomyślny, zdający się na „jakoś tam będzie“, gościnny chociażby z własnym uszczerbkiem, dobroduszny i szczery, skromny jak rzadko, nienawidzący form i obłudy wielkiego świata, demokrata z krwi i kości wrósł on tak w swą ziemię, że mimo swego rozpaczliwego położenia nic by go z ukochanej Litwy wywabić nie zdołało.

A jak goraco umiłował swą ziemię ojczystą niechaj wskaże następujący wierszyk:

Kiedy biorę ołówek
I nie wiedząc co kreślić, błędne s awiam kreski
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub li ewska chatka,
Lub kościołek wioskowy lub dworek litewski.

Nic innego nie umiem kreślić na papierze
Tylko to, com ukochał z całej mojej duszy

Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze
Chciałem kreślić gmach pański
— ołówek się łamie —

Z takiemi cechami charakteru osiadł Ludwik po ślubie we wziętej w dzierżawę wiosce Załuczu nad Niemnem i tam zaczął pisać pierwsze wiersze do różnych gazet i pism perjodycznych. Początkowo drobne wierszyki zaczęły przekształcać się w większe, aż wkońcu pisze rzecz obszerniejszą i poważniejszą p. t. „Urodzony Jan Dęboróg". Ponieważ za wierszyki te otrzymywał dość duże wynagrodzenie, uzbierał sobie wkrótce tyle pieniędzy, że w roku 1857 pojechał po raz pierwszy do Wilna, gdzie później zamieszkiwał na stałe.

W pięć lat po wycieczce do Wilna udał się do Warszawy, gdzie przyjmowano go z wielkiemi honorami i proponowano mu posadę redaktora „Gazety Polskiej", której to posady nie przyjął. W styczniu 1858-ego roku został wystawiony w teatrze wileńskim nowy jego utwór „Kacper Karliński", który bardzo podobał się. W tym też roku odbył jeszcze jedną dłuższą wycieczkę w Poznańskie i przez Kowno, Warszawę, Kutno do Poznania, stąd na Wrocław, Kraków, Piotrków do Wilna. Ostatni to raz w życiu zbierał owacje i triumfy. Sterane życie gasło powoli. Nie pomogły kuracje w Druskiennikach i Birsztanach. W roku 1860-ym z gwarliwej ulicy Niemieckiej przeniósł się chory poeta do nowego mieszkania przy ustronnej uliczce, prowadzącej z ulicy Zamkowej do Ogrodu Botanicznego. W tem to mieszkaniu dokonał życia 15-go września 1862-im roku.

W trzy dni po śmierci odbył się wspaniały pogrzeb. Ciało poety tłumy publiczności odprowadziły na cmentarz na Rosi. Przypominano sobie i o rodzinie, przedsięwzięto zbiorowe wydanie dzieł na rzecz wdowy i sierot. Wydanie przyniosło spory kapitalik. Tak więc byt rodziny zmarłego poety został zabezpieczony. (C. d. n.)

ZBIGNIEW UBYSZ kl. VI.

Tajemnica nieznanej wyspy.

(NOWELA)

Od molo portu gdyńskiego odbił lśniący w promieniach zachodzącego słońca, białą farbą kadłuba, kształtny jacht „Mewa".

Na przystani widać było niewiastę, która smutno spoglądała na odjeżdżający statek. Na pokładzie stał oficer—marynarz. Przykładając nerwowo lornetę do oczu, obserwował kobietę. Widział jej zapłakane oczy, wyczuł przygnębienie. Na chwilę przeszedł go jakiś dreszcz trwogi.. trwogi nieznanej mu przedtem... opanował się.. Ostatni rzut oka... pochwycił jej

sylwetkę, błysnął wdzięczny ruch jej ręki, powiewającej chusteczką na pożegnanie i postać ukochanej istoty rozwiała się we mgle wieczoru.

— A co Zygmuś, smutno ci — do stojącego oficera podszedł kolega — przypuszczam, że to przykro, no ale przecież nie odjeżdżasz na stałe, stary mówił, że za dwa miesiące będziemy z powrotem, a krótki pobyt w Ameryce nic ci nie zaszkodzi. Wrócisz, Jadzia będzie jeszcze więcej z ciebie zadowolona... no nie martw się.

— Od wyjazdu z Gdyni minęły dwa tygodnie.

Jacht starego przemysłowca łódzkiego pruł fale Atlantyku. Starszy oficer Stefan prowadził ożywioną rozmowę z kapitanem.

Lentzki, właściciel „Mewy", rozmawiał ze swym ulubieńcem młodszym oficerem Zygmuntem.

Panie — zapytał Zygmunta — podziwiam doprawdy miłość, jaką obopólnie ze Stefanem się obdarzacie, przypuszczam, że węzły przyjaźni wytworzyły się z jakichś ważniejszych pobudek... co?

Hm! czy z ważniejszych to kwestja. Żyjemy z sobą od dwóch lat... poznaliśmy się rzeczywiście w warunkach niezwykłych Ja służyłem wówczas na starej kanonierce „Gen. Haller". Podczas ćwiczeń, jakie odbywaliśmy na morzu, zauważyłem samolot. Jechał w naszą stronę Straszna wichura, jaka wówczas panowała i padający deszcz utrudniał obserwację, jednak zdołałem zauważyć, że hydroplan znajduje się w trudnej sytuacji; lecąc nad skłębionemi bałwanami, narażony był co chwila na ich uderzenia. Jak się domyśliłem, przyczyną tego niskiego lotu był defekt w motorze Kazałem dla pewności przygotować szalupę Za chwilę samolot starł się ze skłębioną powierzchnią morza, stanął dęba i przewrócił się na plecy. — Pomoc była konieczna... wskoczyłem do łodzi i nie zważając na to, że miałem tylko dwóch naśladowców, skierowałem ster w stronę przewróconego aparatu. Podróż nie należała do łatwych, olbrzymie góry wodne przelewały się przez wątłą łódź. Lecz posuwaliśmy się dzięki wysiłkom moich chłopców dość szybko. Chwila była ostateczna; samolot skutkiem wybuchu benzyny, płonął. Pilota na falach widać nie było. Naraz zauważyłem go na grzbiecie olbrzymiej fali, szamocącego się rozpaczliwie w swym ciasnym kombinezonie. Jedynem wyjściem z tej ciężkiej sytuacji byłaby natychmiastowa pomoc... rzuciłem się w wodę i za chwilę nawpół żywego rozbitka ciągnąłem do łodzi. Uratowany po trzech dniach zdrowie odzyskał, lecz stracił chęć do dalszej służby w lotnictwie, przeszedł do marynarki. Dzięki swym zdolnościom zdołał w stosunkowo krótkim czasie dobić się stopnia starszego oficera. Pracuje obecnie na pańskiej „Mewie" — pilotem tym bowiem był Stefan. Chwila jego ocalenia była dla nas tym węzłem, którym, przypuszczam, związał nas na całe życie.

Dziękuję panu, teraz wiem wszystko no i... więcej się nie dziwię.

Wstał wolno, podążając do kajuty, zatrzymał się przy Stefanie, wyciągnął rękę — Winszuję panu przyjaciela, dzielny chłop.

— Nazajutrz ranek wstał śliczny. Morze pokryte poszarpanemi białemi falami zdawało się lekko oddychać. Purpura słońca wżerała się w ciemny lazur wody. „Mewa" wstrząsana drganiami motorów podążała naprzód. Jednakże ten spokój był przysłowiową ciszą przed burzą. Kapitan, stary wilk wszystkich mórz świata, zaopinjował z ewangieliczną pewnością: będzie wiaterek. Wiedzieli wszyscy, co to znaczy — spodziewał się burzy. Pod wieczór

zerwał się wiatr, by wreszcie po godzinie zamienić się w straszny huragan. „Mewa" pędziła na skrzydłach wiatru, pośród nieprzejrzanych ciemności, zanurzała się w zimnej toni morza, otrząsała się z piany fal, trzeszczała w wiązaniach, pluła w wicher smugami dymów pochylonego komina.

Kapitan, niewzruszony i spokojny, stał przy kole sterowym. Widział moc wichury i choć odczuwał na sobie już nieraz potęgę natury, śmiało patrzał w przerywaną od czasu do czasu zygzakiem błyskawicy „ciemność". Nie mógł zorjentować się co do kierunku wiatru, wiedział, że szybkość jachtu jest olbrzymia i najlżejsze zetknięcie z lądem grozi rozbiciem — lecz niewzruszenie kierował dziób „Mewy" w paszczę wichury.

Burza trwała całą noc. Tych kilka godzin zdały się wszystkim wiecznością. Nadomiar złego, zaalarmowano z pod pokładu: woda w hali maszyn. Pociemku wzięto się do pomp. Stefan i Zygmunt dozorowali akcją ratunku, lecz mimo wysiłków woda zapełniała wnętrze pięknego jachtu...

Spuszczono dwie szalupy... chwila była ostateczna. Ledwie dwie łupiny odbiły od boku „Mewy", rozległa się detonacja — pękły kotły... Jacht pod wpływem wybuchu zdał się zatrzymać, lecz poderwany wichurą zwalił się na bok.

Szalupy podzielone, pogubiły się w ciemności... gwałtowne uderzenie fal przewróciło obie łodzie... na kłębach fal pojawiło się kilka kurczowo wykrzywionych twarzy rozbitków. Bezlitosna nawałnica wtłoczyła je w zielone odmęty...

Dzika natura wyła hymn zwycięstwa.

. . . .

Słońce prażyło bezlitośnie... na skalistym brzegu morskim leży nieruchomo ciało marynarza — pod wpływem promieni słońca rozbitek się poruszył... przetarł oczy... zerwał się na równe nogi. Morze było spokojne, na brzegu marynarz zauważył trzy skrzyneczki, a gdzieniegdzie szczątki rozbitej szalupy... bierny pod wpływem omdlenia umysł teraz począł intensywniej pracować. Rozbitek przypomniał sobie dokładnie wybuch kotłów na „Mewie", wywrócenie się szalup, walkę z rozszalałą naturą o życie... więcej nic nie pamiętał... ach prawda! miałem towarzyszy... no trudno — poginęli... Ale ja żyję! wyrwało mu się mimowoli... szkoda tylko Zygmunta — pomyślał — dzielny chłop — przypomniały mu się słowa Lentzkiego. Spojrzał na skrzynki — ach to z szalup... szczęśliwie morze to wyrzuciło, będzie przynajmniej co jeść... hm! a może jeszcze kogoś znajdę na brzegu — obejrzał się, opodal zauważył coś leżącego, podążył w tę stronę.

— Zygmunt!! — krzyknął głośno i pośpieszył z ratunkiem.

Leżący przytomność już odzyskał, brak mu było jedynie sił do samodzielnego powstania.

Przy pomocy Stefana uniósł się z ziemi.

Czy tylko my? — było jego pierwszem — pytaniem.

Stefan był nim zaskoczony.

Czy tylko my? hm... zdaje się niestety.

Ach... więc brzeg już obejrzałeś?... więc wszyscy poginęli...

...Ląd okazał się wielką wulkaniczną wyspą bez żadnej roślinności. Mała rzeka wijąc się między głazami spływała z gór. Mimo najszczerszych chęci rozbitkowie nie mogli sobie przypomnieć o istnieniu na Atlantyku podobnego lądu. Klimat wskazywał, że są w pobliżu Ameryki... lecz nic poza-

tem. Zapasy żywności w postaci wyrzuconych przez morze sucharów i konserw szybko się wyczerpywały. Na morzu mimo pogody nie widać było żadnego okrętu. Nieszczęsnym rozbitkom groziła śmierć głodowa. Dzięki przezorności Zygmunta byli w posiadaniu świetnego rewolweru, lecz na wyspie nie spotkali żadnej zwierzyny W oczekiwaniu na przelotnego ptaka Stefan miał go przy sobie w pogotowiu Używając codziennej kąpieli w zimnej wodzie rzeki Zygmunt zaalarmował kolegę okrzykiem triumfu: złoto!! Po bliższem zbadaniu okazało się, że rzeka jest nieprzebranem źródłem złotego piasku; gdzieniegdzie pomiędzy drobnemi kamykami znajdowały się całe bryły tego szlachetnego kruszcu.

Po tem odkryciu przyjaciele udali się w górę rzeki w poszukiwaniu pokładów złota.

Dymiący od kilku dni najpotężniejszy wulkan wyspy dziś pokryty był piuropuszem dymów.

Po mozolnych wspinaniach się po głazach znaleźli się na jednym ze szczytów wyspy. U ich stóp leżała cała wyspa ze swemi bogactwami.

— Żeby tak przedłużyć nasze życie o jakie dwa tygodnie — odezwał się Zymunt — możeby znalazł się ratunek w postaci jakiego okrętu... a wówczas przy naszych bogactwach.. ale co, na razie nie mamy co jeść, zapasów starczy zaledwie na tydzień... a później?

P-ó-ź-n-i-e-j? — zapytał sam siebie Stefan — P-ó-ź-n-i-e-j? ...później — biło go to słowo po twarzy, głowie, przytłaczało swym ogromem — później... precz zmoro piekielna — na duszy usiadł mu drapieżny czarny potwór... ha-ha... później zginiesz. — Nie.. nie... ja żyć chcę... muszę... i naraz w podświadomości zrodziła się myśl straszna. W wyobraźni ujrzał siebie nad ciałem Zygmunta. — Dlaczego? zapytał sam siebie, lecz wkrótce widzenie wróciło — zobaczył, jak na ciało przyjaciela sypie się strumieniami złoto.. złoto...

Ocknął się — Nie! — Tak! Tak! usłyszał głos wnętrza.

Spojrzał przed siebie — Na skraju ciemnej przepaści, na wyniosłym kamieniu stał Zygmunt.

Czarny drapieżny potwór zakrył mu oczy.

Nie minęła sekunda jak poderwany jakąś siłą znalazł się obok przyjaciela Nie namyślając się silnem uderzeniem wytrącił mu z pod nóg kamień. Rozległ się gwałtowny krzyk, huk walących się skał i góry nieznanej wyspy zaległa grobowa cisza..

Stefan strasznym wzrokiem powiódł dokoła, jakby szukając świadka czy wreszcie sprawcę zbrodni, — siebie za takiego nie uważał.

Zaśmiał się śmiechem szatana i skacząc z głazu na głaz, znalazł się nad brzegiem rzeki. Ogarnęła go istotnie gorączka złota. Wydobywał ten kruszec z wody, układał troskliwie w skrzynkach po sucharach i konserwach. sypał go na kształtne kupki nad brzegiem morza byle więcej, byle prędzej. Zapomniał zupełnie o tem, że odcięty jest od świata głębią dla niego nie do przebycia. Nie zważał już na powtarzające się coraz to silniejsze wstrząsy ziemi, na dający się odczuwać swąd dymów wulkanu.

W takim stanie przetrwał dwa dni.

Wierzył w zwycięstwo — przeczuwał czyjąś pomoc I pomoc nadeszła. Usłyszał lekki warkot silnika Lecz ten odgłos życia zagłuszył gwałtowny wstrząs i wybuch wulkanu.

Samolot? — pomyślał — czyżby?.. ach to możliwe... wszak to dziś piętnastego — czas odlotu irlandzkich lotników na podbój Atlantyku. — Tak napewno. Teraz już był przekonany, że wyjdzie zwycięzcą. Na horyzoncie ukazał się biały metalowy ptak — zdążał wprost na wyspę. Stefanowi przypomniała się jego przedwczorajsza zbrodnia i instynktownie schował się za wyłom skalny. Samolot na zmniejszonym gazie podchodził do lądowania... Wylądował. Z kabiny wyskoczyło dwóch pilotów, widząc, że wybuch wulkanu może przes kodzić startowaniu, gorączkowo wzięli się do naprawiania jakiegoś defektu.

Ze Stefanem coś się stało, poczuł w ustach słodkawy smak krwi — dym wulkanu wycisnął mu z oczu kilka łez, poprzez szklistą ich zasłonę widział dwóch śpieszących do odlotu pilotów, zorjentował się, że zwycięstwo wymyka mu się z rąk. Chwycił za rewolwer... raz po raz pociągnął za cyngiel.. rozległy się dwa strzały.

Naraz z za pobliskiego załomu wyjrzała twarz straszna, blada, o błędnych oczach i zwichrzonej czuprynie, o wyglądzie przerażającym — trup czy upiór. Ślady krwi znaczyły jego krzyżową drogę... pomiędzy skałami, hen, gdzieś na zbocze przepaści, pomiędzy wystające krzaki. Ten człowiek —upiór zobaczył stojący nad brzegiem morza aparat, usłyszał strzały i widział padających dwu pilotów. Obłąkanym, bezmyślnym wzrokiem powiódł dokoła, nie starając się nawet odgadnąć z czyjej broni padły strzały i dla jakich celów popełniono morderstwo — położył się spokojnie za osłoną z kamieni i... zasnął..

Obudziło go dotkliwe gorąco. Po stoku górskim płynęła szerokim strumieniem lawa. Wstrząsy ziemi poruszały ciężkie głazy. Rzucił okiem nad brzeg morza. Aparat szykował się do wzlotu. Pilot gorączkowo próbował działania sterów. Dał gaz, by jaknajprędzej wzlecieć w przestworza. Obłąkany nadludzkim wysiłkiem, nie zdając sobie zupełnie z tego sprawy, podskoczył do startującego aparatu. Zdążył otworzyć drzwiczki obszernej kabiny pasażerskiej i dźwignąwszy się już w powietrzu, wskoczył do środka.

Pilotujący, ześrodkowując uwagę na startowaniu, niezwykłego pasażera nie zauważył. Skierował aparat na południowo-wschód, spodziewając się dolecieć wraz ze swemi skarbami nad obszary Brazylji czy Argentyny. Tam czułby się spokojnym.

Tymczasem pasażer usadowił się na górze złota, zsypanego w kabinie. Wygiągnął z marynarki wiszą ej przy oknie spory notatnik, oprawny w skórę i od czasu do czasu, rzucając bezmyślnie wzrokiem na siedzącego tyłem pilota, przeglądał notatki uszeregowane według dat. Spojrzał na ustęp zatytułowany datą 13-go. W miarę czytania twarz mu się zmieniała. Z oczu trysnął dziwny jakiś ogień, spojrzał dzikim wzrokiem na leżące złoto, rzucił spojrzenie na pilota... świadomość wróciła, zrozumiał wszystko... Stefan! — krzyknął głosem strasznym... Stefan!! — powtórzył.

Siedzący przy sterze, mimo warkotu silnika, swe imię usłyszał,. obejrzał się.. ujrzał Zygmunta czytającego jego pamiętnik... twarz Zygmunta wyrażała coś strasznego, w rysach, w oczach było coś co budziło grozę. Stefan pod wpływem spotkania oniemiał... puścił kierownicę i zbladłemi wargami wykształcił — przebacz . przebacz. Samolot, poczuwszy swobodę, zaczął się staczać w przepaść. Zygmunt, jak przez mgłę, widział jak złoto przesunęło się w dół w stronę siedzącego pilota... przywaliło go swym cię-

żarem. Przed oczyma stanęły mu zimne oczodoły śmierci i gorejące żarem oczy Jadwigi — wybrał — muszę żyć — pomyślał. Stefek! przebaczam! — krzyknął i otworzywszy drzwiczki kabiny czekał na zbliżenie się powierzchni morza.. już kilkadziesiąt.. już kilkanaście.. już kilka metrów dzieliło go od wody... wyskoczył... poczuł szum w uszach... — Padły dwa ciała, jedno z metalu w swem wnętrzu gnębiąc przeklęte złoto, zbroczone krwią niewinnych Irlandczyków, i sprawcę zbrodni, drugie zaś mieszczące w sobie świątynię miłości i przebaczenia.

...W pewien czas potem Irlandja straciła nadzieję znalezienie swych dzielnych bohaterów. Marynarze polscy pili zdrowie młodej pary.

16 luty 1929. EDWARD SOKOPP kl. VII.

Parę uwag pod adresem przedstawienia p. t. „Pensjonarki", urządzonego przez uczenice Gimnazjum Żeńskiego w Kutnie.

Wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę: do rzęsiście oświetlonej sali weszli uczniowie. Tu uśmiech rozpromienił zasępioną twarzyczkę młodocianej artystki, tam znowu figlarne spojrzenie odpowiedziało na ukłon pełen powagi.

Powodzenie przedstawienia może zapewnione, skoro tacy znawcy sztuk pięknych (?) przyszli. Należało się spodziewać, że sztuka zadowoli smak artystyczny poczciwego nawet koleżkę. Przybycie męskiego świata naukowe-

go (?) było nielada sensacją i podzięką dla małych artystek wielkiej sztuki. Jedni przybyli z racjipokrewieństwa krwi, drudzy z racji pokrewieństwa ducha, inni jeszcze, aby spełnić „acte de presence“, a inni jeszcze, aby niesłusznie krytykować zbyt jaskrawe i nierealne wybryki „Pensjonarek“. W chwili, gdy scena mienila się wesołością i niekiedy przebłyskami dowcipu, widownię zalegała przykra i niepokojąca cisza. Rodziców i opiekunów przytłoczył koszmar smutku i niepokoju. Z goryczą rozmyślały czcigodne mamusie o tem, że ich córeczki, ich ukochane jedynaczki w ten, tak przedziwny zresztą sposób, zachowują się na lekcjach.

Inni, nieco świadomi, szeptali sobie na ucho, że to przedstawienie jest może odzwierciedleniem miejscowych stosunków.

Wszyscy zaś zgodnie zgadzali się co do jednego, że sztuka nie przedstawia artystycznej wartości i że dziwnem im się wydaje, ażeby można było osobiście krytykować swoje postępowanie i to do tego publicznie. Co o tem pomyśli młodzież. Jakie refleksje mają się w nas budzić, którzy wierzymy w te uosobienia miłości i dobroci?

Niektóre z aktorek rokują prawdopodobnie wielkie nadzieje na przyszłość. Jednej brak tylko może głosu, drugą opanowuje lekka trema, ale to nic, to bagatelka. Wszystko jest do odrobienia.

Czas, najlepszy lekarz, zabliźni niesłusznie zadane rany, a z pewnością także uchroni niepowołane osoby od życiowych pomyłek.

YPSYLON.

Z Polski i ze świata.

NARCIARZE POLSCY STAJĄ W SZEREGU NAJLEPSZYCH NARCIARZY EUROPEJSKICH.

W dniach 8-go i 9-go stycznia r. b. odbyły się w Westerowie w Czechosłowacji zawody narciarskie, do których obok najlepszych zawodników czechosłowackich i norweskich stanęli i narciarze polscy. W pierwszym dniu zawodów najlepszy czas w biegu na 18 km. zyskał Bronisław Czech (Polska), zajmując w ten sposób pierwsze miejsce. W drugim dniu zawodów rozegrano konkurs skoków, w którym Czech zajął trzecie miejsce. W ogólnej kwalifikacji zajął Czech drugie miejsce, przyczyniając się w ten sposób do przysporzenia chwały młodemu sportowi polskiemu.

ZMIANA FALI RADJOSTACJI WARSZAWSKIEJ.

W ubiegłym roku radjowy kongres waszyngtoński zajmował się podziałem fal radjowych, ograniczającym za-

kres fal długich dla radjofonji. Na mocy uchwał tego kongresu radjostacja warszawska zacznie od 12 b. m. pracę na nowej fali długości 1415,1 metrów. Należy zaznaczyć, że uchwały kongresu waszyngtońskiego pozwalają tylko 7 min. stacjom europejskim między niemi i stacji warszawskiej pracować na falach długości od 1351,3 do 1852 m. Zmiana fali radjowej warszawskiej poza drobną przeróbką aparatów dedektorowych nie pociągnie za sobą pogorszenia odbioru.

POLSKI ARTYSTA—MALARZ SĘDZIĄ NA WYSTAWIE W PITTSBURGU.

Instytut Carnegiego powołał na sędziego przy rozdziale nagród na wystawie w Pittsburgu Polaka prof. Władysława Jareckiego, dziekana Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych.

WYKOPALISKA Z 7500-go ROKU PRZED CHRYSTUSEM.

W Armaut koło Kairu odkryto resztki budynku, pochodzącego z 7500-go roku przed narodzeniem Chrystusa. Budynek ten był świątynią, poświęconą kultowi byka.

SENSACJA! PRZEZROCZYSTA STAL!?

Na wystawie metali w Berlinie demonstrowano przezroczystą stal prof. dr. K. Müllera. Wynalazca ten przy pomocy pewnego procesu zdołał otrzymać przezroczystą stal. Dzięki temu wynalazkowi daje się walcować stal na cienkie blaszki o grubości kilku miljonowych części milimetra i staje się wtedy tak przezroczysta jak szkło. Mimo tak idealnej grubości zachowuje stal wszystkie swe własności, a zyskuje natomiast nowe t. j. zupełną przezroczystość i nadzwyczajną elastyczność. W tym stanie stal przepuszcza promienie świetlne, katodowe, röntgenowskie i radjoaktywne, daje się również magnetyzować. Jeśli wiadomość o wynalazku tym nie jest wytworem fantazji, znajdzie stal ta szerokie zastosowanie na polu praktycznem, przedewszystkiem w dziedzinie instrumentów precyzyjnych; nadawać się będzie także do wyrobu membran mikrofonicznych, instrumentów medycznych i mierniczych.

NAJWIĘKSZY TELESKOP ŚWIATA.

Na górze Saleve, na granicy szwajcarsko-francuskiej buduje się obecnie obserwatorjum. W tym pałacu zwierciadeł, ukazujących oblicze tajemnych światów znajdzie się olbrzymi teleskop, jakiego nikt jeszcze na kuli ziemkiej

nie widział. Zwierciadło w tym najpotężniejszym przyrządzie astronomicznym będzie miało powierzchnię o 5-ciometrowej średnicy, z poczwórną skalą działania. Potężny ten instrument zostanie przedewszystkiem skierowany na księżyc, którego tajemnice staną się wreszcie dostępne dla oczu ludzkich. Olbrzymi ów teleskop zbliży księżyc do oczu badacza na odległość 40 kilometrów, gdy rzeczywiste oddalenie jego od kuli ziemskiej wynosi 400.000 km.

NIEZWYKŁA BIBLJOTEKA TOWARZYSTWA „PORTLAND CEMENT ASSOCIATION" W CHICAGO.

Zarząd Towarzystwa tego posiada bibljotekę złożoną nie z książek, lecz z 3000 butelek, zawierających okazy piasku, zebranego na całym świecie. Zbiory te dowodzą jak ogromną rozmaitość barw — od śnieżno-białej do czarnej — posiadają piaski całej kuli ziemskiej.

150 GODZIN W POWIETRZU.

Samolot amerykański „Question Mark" rozpoczął w dniu Nowego Roku lot nad Kalifornią w celu pobicia rekordu długotrwałości przebywania w powietrzu. Ten wyczyn śmiałych lotników amerykańskich zakończył się świetnym wynikiem, a mianowicie zdołali się oni utrzymać w przestworzach 150 godzin i 45 minut. W porównaniu z dotychczzsowym rekordem długotrwałości lotu, wynoszącym dla samolotów 60 godzin, lot amerykański wydaje się niezwykłym.

OBY NASI STUDENCI OTRZYMALI TAKĄ GWIAZDKĘ.

Miljoner amerykański Edward Herkness ofiarował nowojorskiemu uniwersytetowi Harward dziesięć miljonów dolarów jako podarunek gwiazdkowy, przeznaczając pieniądze te na budowę uniwersyteckich domów mieszkalnych.

IGREK.

KRONIKA.

KÓŁKO LITERACKIE. Dnia 16-go grudnia ub. r. odbyło się szóste zebranie kółka literackiego, na którem kol. Bukalski wygłosił I część referatu p. t. „Krzyżacy". Referent pokonał starannie wszystkie trudności, wypływające z rozmiarów powieści, wywiązując się z zadania naogół dobrze. Fabułę powieści przedstawił ciekawie, stylem nienużącym, prostym i jasnym. W dyskusji nad referatem zabierali głos kkol.: Possart, Krawczyk. Kończąc dy-

skusję, podkreślił p. prof. Anders gładki styl prelegenta i ocenił samą pracę jako udatną. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Krawczyk.

Dnia 20 stycznia r. b. odkyło się siódme zebranie kółka literackiego, na którem kol. Berezowski odczytał referat p. t.: „Kollokacja" Korzeniowskiego, a kol. Oyrzanowski złożył sprawozdanie całoroczne (za rok 1928) z ruchu literackiego. W sprawozdaniu omówił kol. Oyrzanowski ważniejsze utwory autorów: Wierzyńskiego, Tuwima, Ossendowskiego, Ligockiego, Kiedrzyńskiego, Bandrowskiego i Makuszyńskiego W dyskusji nad referatem zabierali głos kkol.: Fastyn, Krawczyk i p prof. Anders, a nad sprawozdaniem kkol.: Fastyn, Krawczyk, Szymański Eug. i p. prof. Anders. W wolnych wnioskach kol. Ubysz podjął się opracowania referatu n. t. Twórczość Syrokomli. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Ubysz.

KÓŁKO HISTORYCZNE. Dnia 9-go grudnia ub. r. odbyło się piąte zebranie kółka historycznego, na którem kol. Walicki złożył sprawozdanie z ostatnich wypadków historycznych, a kol. Szymański St. odczytał referat n. t. „Stosunek dziejowy Gdańska do Polski", doprowadzony do r. 1795. W dyskusji nad referatem zabierali głos kkol.: Fastyn i Walicki, wyrażając się o referacie bardzo przychylnie. Następnie przystąpiono do wolnych wniosków: głos zabrał ks. prof. Wolanin, podając wniosek, by opracowane referaty składano do zarządu kółka historycznego. Przewodniczył kol. Adamiak.

Dnia 6-go stycznia r. b. odbyło się szóste zebranie kółka historycznego. Na zebraniu kol. Bukalski wygłosił referat n. t. „Granice Polski w rozwoju dziejowym". W dyskusji nad referatem zabierał głos kol. Guzek i wielu innych. W wolnych wnioskach zabrał głos kol. Guzek, oznajmiając, że następne zebranie kółka odbędzie się za dwa tygodnie. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol Juszkiewicz

Dnia 27-go stycznia r. b. odbyło się siódme zkolei zebranie kółka historycznego, na którem kol. Walicki złożył sprawozdanie z wypadków historycznych, a kol. Szymański St. odczytał drugą część referatu o stosunkach polsko-gdańskich n. t.: „Gdańsk a Polska po r. 1795". Sprawozdanie zawierało omówienie całokształtu najważniejszych wypadków historycznych 1928-go r. i w zupełności odpowiedziało, jak stwierdziła dyskusja (kkol.: Minich, Krawczyk), swemu zadaniu. Referat kol Szymańskiego St. był syntetycznem ujęciem dziejów stosunków polsko-gdańskich od utraty przez Polskę niezależności polity znej do chwili jej odzyskania. W dyskusji nad referatem zabierali głos kkol. Guzek i Walicki oraz ks. prof. Wolanin. W wolnych wnioskach oznajmił zebranym kol. Guzek, że następne zebranie kółka odbędzie się za trzy tygodnie. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Umerski.

KÓŁKO KRAJOZNAWCZE. Dnia 0-go grudnia ub r. odbyło się zebranie kółka krajoznawczego, na którem kol Frankowski zdał sprawę z pisemka „Orli Lot", zaś kol Orzechowski wygłosił referat n t „Katedra płocka". W dyskusji nad sprawozdaniem zabierali głos kkol: Minich i Taczanowski referat natomiast nie wywołał dyskusji Na zebraniu zrealizowano wniosek, podany przez ks. prof. Wolanina, co do wyboru patrona tutejszego

kółka. Patronem został Stanisław Staszic. Na tem zebranie zakończono. Przewodniczył kol. Karolak.

Z BRATNIEJ POMOCY. Dnia 21 grudnia ub. r. odbyło się zebranie zarządu Br. Pomocy, na którem omawiano kwestję zabawy uczniowskiej. Wobec wielu wyłaniających się spraw, związanych z urządzeniem zabawy, zebranie obradowało przez czas dłuższy. Ostatecznie po gruntownem rozpatrzeniu przedmiotu zebrania ustalono termin zebrania na dzień 19-go stycznia r. b. Na zebraniu byli obecni: p. dyr. Kozłowski, p. prof. Urban oraz zarząd w pełnym składzie. Przewodniczył kol. Aktaboski.

FERJE ŚWIĄTECZNE. Tegoroczne ferje świąteczne trwały krócej niż zwykle, bo od 22-go grudnia ub. r. tylko do 3 go stycznia r. b. włącznie.

PORANEK MUZYKI POLSKIEJ i WIECZÓR KOLĘD. W niedzieię 13-go stycznia r. b. odbył się staraniem zarządu Towarzystwa Przyjaciół Gimnazjum w sali gimnazjalnej Poranek muzyki polskiej w wykonaniu wyłącznem prof. Władysława Burkatha, znanego muzyka polskiego. Po krótkiej, ale treściwej i zwięzłej charakterystyce muzyki Chopina oraz muzyki nowoczesnej, której najwybitniejszymi przedstawicielami są: Paderewski, Różycki i Szymanowski, przystąpił wybitny muzyk do odegrania najważniejszych utworów omawianych mistrzów. Celem prof. Burkatha było, jak sam zaznaczył, wykazanie, o ile romantycy polscy w muzyce, a przedewszystkiem największy z nich, Chopin, wywarli wpływ na rozwój muzyki współczesnej.

O godzinie ósmej tego samego dnia odbył się w tejże samej sali Wieczór Kolęd o bardzo bogatym i urozmaiconym programie. Złożyły się nań przemówienie prof. Wł. Burkatha o kolędach polskich, wykonanie przez tegoż transkrypcyj niektórych kolęd polskich na fortepian, oraz występy chórów: kościelnego, „Sygnału“, łąkoszyńskiego i szkolnego. W swem przemówieniu stwierdził prof. Wł. Burkath, że z kolędami polskiemi nie mogą się mierzyć pod żadnym względem kolędy innego narodu. Polacy posiadają ich najwięcej (ok. 250) i najpiękniejszych. Mówiąc o znaczeniu kolędy wogóle, a kolędy polskiej w szczególności, zacytował szanowny prelegent zdanie Lucjana Siemieńskiego, w którem tenże powiada, że przy przysłuchiwaniu się polskim kolędom miał zawsze wrażenie, jakoby niebo zstępowało na ziemię i zasiewało dobro w duszach ludzkich.

ZABAWA. Dnia 19-go stycznia r. b. odbyła się w sali Gimnazjum taneczna zabawa uczniowska, która, trwając wśród radosnego i jasnego nastroju do późnej godziny, była miłem, tem pelniejszem uroku, że rzadkiem, urozmaiceniem uczniowskiego szablonu życia.

ZAKOŃCZENIE I PÓŁROCZA ROKU SZKOLNEGO 1928-29. Pierwsze półrocze b. r. szk. zakończyło się przerwą w nauce od 1-go do 4-go lutego włącznie.

Podziękowanie.

Zarząd Koła Krajoznawczego składa podziękowanie p. Knothe za dawne monety i pieniądze papierowe, kkol. Sowińskiemu Mieczysławowi, Kałużnemu i Sobczakowi za medale; kkol. Adamiakowi, Łojko i Strzeleckiemu za papierowe pieniądze i starodawne monety ofiarowane do zbioru Koła.

Podziękowanie.

W imieniu Zarządu Br. Pomocy składam serdeczne podziękowanie p. pr. Janiszewskiemu (Harbin, Chiny) za łaskawą ofiarę 180 złp. na rzecz naszej instytucji.

EDWARD SOKOPP
prezes Br· Pomocy.

Zadanie.

Pewien kupiec posiadał cztery ciężarki, ważące razem 40 kg.

Ciężarkami temi mógł on zważyć rzeczy, których ciężar nie przekraczał 40-tu kg., a nie był lżejszy od 1-go kg. (Ciężar rzeczy wyrażał się całkowitemi wielokrotnościami 1 kg.)

Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 15-go marca r. b.

KLAPPER kl. II.

Wydawca: Zarząd Bratniej Pomocy w osobie prof. URBANA.
Kierownik literacki: prof. ANDERS.

Komitet redakcyjny: uczniowie.
Redaktor odpowiedzialny: kol. Tadeusz Szymański.
Redaktor naczelny kol. Lech Bukalski.
Członkowie kkol.: Stefan Aktaboski, Tadeusz Gallus. Józef Fastyn, Edward Sokopp, Eugenjusz Szymański, Stanisław Szymański, Leon Kuncewicz i Bronisław Oyrzanowski.

Adres Redakcji: Kutno, Gimnazjum Państwowe im H. Dąbrowskiego.

Druk J. Celkowskiego w Kutnie.